

# BEM

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

10

Rej wodzi między demokratami, tykom każe sobie „obywatelić“, niby Mochnacki lub Plichta, bo się panu tak podoba, bo hrabia i tak hrabią zostanie. Lampka-Małachowski przygrywa, że Gurowskiego pod Stanisławowem adjutant Leski batem od ucieczki powstrzymał. Ale to jest złość ludzka. Dla „lampki“ ten wart, kto się dał zabić.

Pani Honorata tego wieczora półtora sta złotych do Filialskiego przegrała. A potem doń w prośby. Filialski kołował, radził swoją godnością magistra prawa i administracji, krztusił się, napomynał, że trzebaby Gurowskiego przystojnie uhonoroować, bo hrabia Kwindecza ma za nic, że i tak wdzięczność ludzka zadość jemu, Filialskiemu, wyrządziła zawodów, a wreszcie, po solennych wynurzeniach, przyrzekł.

Upłynęło tak dni kilka. Magister nie pokazał się. Panią Honoratę zwątpienie naszło, ach, i niedłatego, że w Gurowskim widziała odnowiciela powodzenia kawiarni...

Aż tego właśnie dnia, w którym bateria artylerii konnej pułkownika Bema przybyła na Pragę, dziw się stał, cud istny.

Już około południa Różia zapukała do mieszkania pani Honoraty, zwiastując jej, że gości sporo i że trzeba kluczy od loszku, bo araku w butelkach nie wystarcza. Pani Honorata przyjęła tę wiadomość obojętnie. Spodziewała się, że wobec powrotu wojska, gości będzie więcej. Dała Rózi klucze i bez pośpiechu, zaczęła się odziewać. Godziny bodaj nie wyszło, gdy do mieszkania pani Honoraty, wtoczył się wuj Olechowski spocony, zasapany, zziębnięty.

Pani Honorata oburzyła się, myśląc, że wuj zalał pałkę i od rana brewerye chce wyprawiać, lecz ten machnął ręką energicznie.

— Honoruś, ani dudu! Górą nasza i koniec, paje! Trzech, paje, klubistów, Krępowickiego tylko patrzeć, paje... Kozłowski mówi wieczorem! Będą rzucić, paje, naczelnego wodza, rząd paje, senat paje, sprzedawczyków pod sąd, paje i koniec paje! Dziesięć antyków nie starczy, paje! Górą Honoratka! Wdziej niebieską w kwiatki...

Pani Honorata jęła żwawiej papiloty rozkręcać, a staranniej się zdobić a zagadywać, skąd, co, jak. Wuj Olechowski, po swojemu, prawit od Sasa, bajdurzył i dopiero w ostatku rąbał.

— Był właśnie małister...

— Filialski!

— Był, żeby ci pojedzić, jako słowo, paje, się rzekło...

— Więc hrabia Gurowski?

— Niema hrabiów, paje, demokratyczne, paje...

— Niechże, wujo, porządnie. Więc Gurowski?!

— Będzie! Wszystko będzie. — Pojedziałem w kwiatki...

Pani Honorata, bez słowa, stuknęła wiekiem skrzyni i dobyła czarną, morową suknię...

Wuj Olechowski uderzył palcami w tabakierkę.

— Nie zawadzi, paje! Bo owóz nie wszystko...

— Cóż jeszcze?

— Bem, paje!

Pani Honorata wzruszyła ramionami i zabrała się do kończenia toalety. Wuj Olechowski nie dał się zrazić tą widoczną odprawą.

— Honoruś, mówię, paje, Bem!

— Jużby wujo mógł raz przestać!

— Pszyt ani dudu!

— Wiem, stateczny oficer, dobry człek a jeszcze lepszy strach na wróble.

— Pułkownik!

— Dopiero pod...

— Nie. Został pułkownikiem! Rozumiesz paje.

On jeden, paje, pod Ostrołęką, całą armię paje har-

matami paje zbębnił!

— Nie ujmuje mu.

— On jeden! Uważasz paje! — Pół roku le-

dwie i masz — kapitan, major, podpułkownik, puł-

kownik! — Trzebaby, Honoruś. Nieboszczyk twój

był, prawda paje, w hułanach, ale furyerem...

— To i cóż! — odparła rezolutnie pani Hono-

rata.

— Więc co pułkownik, to nie furyer!

— Grosza nie ma w majątku.

— Ale może mieć. Dziś pułkownik, jutro gene-

rał brygady, pojutrze dywizyi, szef sztabu, wódz,

dyktator paje...

— Wuj zawsze mi głowę skotłuje!

— Honoruś! Twego pragnę! W klubie, paje, wczoraj, paje, wołano — Szembek, Krukowiecki, Soltyk, Bem! I znów Szembek — Bem! I znów Bem!

— Zobaczymy, zobaczymy. Takie szczęście nie zając jeszcze! Niech wujo tylko uważa dzisiaj na lampek wydawanie, a do butelek się nie przysuwa i kompanii nie szuka.

— Honoruś!

— Dobrze już dobrze. Zapowiem Rózi to pewnością.

Pani Honorata, nie uważając na mrużenie wuja Olechowskiego, bęcnęła raz jeszcze bielidłem po szyi, musnęła piesków przy uszach, zerknęła w lusterko i pachnąca, furkocząca, podążyła do kawiarni.

Tu, gdy z wysokości swego dominującego nad szynkwasem stołka, ogarnęła swoje królestwo, ledwie oczom wierzyć mogła. Ani jednego wolnego stołu. Znajomych gości mnóstwo, a między nimi, co i rusz ktoś, kogo od miesiący nie oglądały mury Honoratki.

Nadobna właścicielka kawiarni, choć jej serce biło z zadowolenia, z jednej myśli, że Kościółowska znów żółtaczkę dostanie, — umiała przystojną zachować miarę. Rozdawała uśmiechy i wdzięczne spojrzenia nawet tym, których przeniewierstwo było oczywiste. Krępowickiego przywitała, jakby widziała go wczoraj. Soczyńskiemu ani się nie skrzywiła, choć wiedziała, że od trzech tygodni w „Dziurce“ siadywał. A kiedy Duchanowski zdziwił się, że tak pełno — odrzekła mu bez zająknięcia: „prawie, jak wczoraj“.

Aliści tego dnia nawet przytomność pani Honoraty miała być na ciężką wystawioną próbę. Bo oto zaledwie o zmroku przerzedziło się nieco w izbach kawiarnianych, zaledwie lampy rozpaść się zdołały, do Honoratki jął tłum całą falą napływać. I jaki tłum. Akademików w mundurach gwardyi dyktatorskiej, klubistów bez liku, pisarzy z dzienników cały jeden stół, z Kraińskim gromada oficerów gwardyi narodowej, audytor Fiszer z panią Chłędowską, w amarantowych wstążkach na kapełuszu, podsedek Rzepecki, major Boski, Rożewski, pułkownik Zwan, Bukowski, pani Parysowa, doktor Brawacki, Dmochowski...

Pani Honoracie w oczach aż się dwoiło ze zdziwienia, skąd się tyle naraz personatów u niej wzięło. A tu dopiero zamęt, gwałt. Dziewczęta natarczywie nie mogą. A tu już i stołków brak i stołów i lampek i kubków i ponczu trzeba zaprawiać i do loszku biedz i liczyć, liczyć precz bez wytechnienia, bez spoczynku.

I pani Honorata możeby dnia tego straciła głowę, możeby nie podołała batalii, gdyby nie nagle, niespodziewana obrotność wuja Olechowskiego, w którym, niewiedomo skąd, w decydującym momencie, nieznane zagrały talenty. Wuj Olechowski bowiem, miast korzystać ze zgietku i wyrwawszy się z pod kurateli, opiekłej panny Rózi, do kropelki gdzie dotrzeć, ruszył do czeladnej, na parobków zakrzyknął i dalej z nimi stoły i ławy wywłóczyć a gościom znosić. Gdy zaś domowych sprzętów rychło nie stało, pobiegł do sąsiadów, Lesla cukiernika zobligował i w rezultacie uczynił, że jeszcze raz tyle przybyło kawiarni i siedzenia i miejsca na kubki, lampki i szklance.

I powoli ład zapanował za szynkwasem. Goście, z najpierwszego obsłużeni, już prawidłowym zajęli się ruszaniem naczyni. W kuchni niejaki jeszcze panował rwetes, ale i ten miał się ku końcowi.

Pani Honorata promieniała. Ciemne jej, mocno podcienione oczy zarzyły się, pulchne ostro zakończone paluszki przebierały w szufladzie pełnej pienędzy, a uśmiech kuszący w dwa pociągające dołki na białej twarzyczce załamany, szedł na prawo i lewo, przyrzekał, obiecywał, budził i młokosa gwardzistę i koit wiernego Honoratki bywalca mieszcucha, tam podstarzałem majorowi podkreślał wąsików, owdzie gładził lwia czuprynę klubisty.

Pani Honorata promieniała.

Wzmagający się w izbach kawiarnianych rozgwar zdawał się ją kołysać, rozmarzać. Tuż dookoła niej, wybuchały zapalczywe dyskusye, spory, padały groźne hasła, kule się ponure wyroki, dźwigały szubienice, huśtały na stryczkach ciała i Łubieńskiego i wszystkich po kolei dygnitarzów — a pani Honorata spokojna, majestatyczna, uśmiechnięta, wyławiała z ulnego wrzenia jeno to, co stanowiło dla niej treść. Z setki głosów naraz, z dziesiątka stuknięć równoczesnych, z czterdziestu zawołań — czujne, wyzieraające figlarnie z pod kruczych włosów uszko pani Honoraty chwyciło najsłabsze, najcichsze odezwanie, najskromniejszy dźwięk, jeżeli tylko znaczył — „jeszcze grzanego“ — „jeszcze

ponczu“ — „miodu“ — „wina“. Niemniej bacznie było spojrzenie pani Honoraty. Bo, w chwili, gdy zdawało się tonąć w oczach młodziutkiego gwardzysty, któremu z wielkiej alteracji na tyle sukcesu, broda więzła w wielkim, amarantowym kołnierzu, przenikało i kłęby fajczanego dymu i liczyło roznoszone przez dziewczęta kubki, butle, lampki i odróżniało złotówki dobre od nikczemnych dydków i za tym samym rzutem, okrutne płomienie zapalało i w sercu majora Boskiego i do wklęsłej piersi jakiegoś rozwichrzonego demokrata się dobierało.

Aliści, dzień ten i czujnemu spojrzeniu pani Honoraty zgotował niespodziankę. Oto, w momencie, gdy z pozoru nic nie mogło ujść jego bystrości, drzwi wchodowe uchyliły się nieznacznie i wpuściły do kawiarni nowego gościa i śnać nielada kogo, bo przy stołach najbliższych wejścia wszczął się przeciągły szmer.

Pani Honorata zwróciła głowę, lecz zanim dobiegła przyczyny szmeru, już wuj Olechowski szepnął gorączkowo.

— Honoruś — Bem! — Bem przyszedł!

Zgrabne wykrojone usta pani Honoraty skrzywiły się przelotnie — powieki zmrużyły się. Twarzyczka właścicielki kawiarni okryła się woalem poważnej zadumy.

Pani Honorata nie widziała teraz ani niepozornej postaci oficera artylerii, który chyłkiem przesuwiał się między stołami, ani niesłyszana zgoda wyraźnego pomruku „Bem — Bem“...

Dopiero, kiedy od stroły przejścia za szynkwas rozległo się ciche:

— Witam panią! — Pani Honorata drgnęła z wielkiej siurpryzy, wyrzuciła w górę powiekami i rozpromieniona, skonfundowana, porwała się z siedzenia i wionęła ku pułkownikowi.

— Ach, to pan pułkownik! Jakaż niespodzianka! — Róziu, proszę zapalić pajaka w alkierzyku! Śniłam o panu! Dwa razy dowiadywałam się na Pragę!

Bemowi na łysawem czole, aż plamy czerwone wystąpiły na taką życzliwość serdeczną.

— Bardzo, bardzo wdzięczny — wyjąkał niepewnie, ileż obocześnie czuł na sobie, krom żaru wielkich, przepastnych źrenic pani Honoraty, natrętne, ciekawe, a nawet złowrogie zezowania, godzące weń ze wszech stron kawiarni.

Lecz tymczasem w alkierzyku za szynkwasem, a raczej w rozwartej wnęce, przesłoniętej zielonemi, tyftkowemi firankami, zamigotało światelko.

Pani Honorata zaprosiła pułkownika. Bem skwapliwie wsunął się za firankę.

— Niech pułkownik zajmie miejsce! — Róziu! Dasz mi kawatek pulardy i moją lampkę... a pan pułkownik...

— Wszystko jedno!... Kawy! Proszę o kawę...

— Może maderę! Tak tak! Ja proszę! — Przy nieś! — Godzi się, godzi! — Trzeba za awans wychylić, za szczęśliwy powrót! — A nie, proszę z tej strony!... Należy mi się po tak długim niewiedzeniu — trzepotała się pani Honorata, sadowiąc się przy pułkowniku, w kącie izdebki, a strojąc doń wdzięczne minki.

Różia nakrywała pośpiesznie stół i zносиła talerze, sztucce, wino, kawę i jedzenie.

Pani Honorata zasypywała pułkownika pytaniami, zerkając poprzez podpięte firanki w otworze szynkwasu, chyliła główkę tuż-tuż, prawie do bliżni pooranej twarzy pułkownika, a wreszcie, przepiwszy doń na cześć pułkowniczych bulionów — uśmiechnęła się kusząco, puciołowatym swym paluszkiem wskazała na dołeczek w buzi i rzekła cicho.

— Proszę — nagroda walecznych!

Bemowi w oczach pociemniało... lecz zanim zdolał tknąć puszystej twarzyczki, — twarzyczka, a z nią pani Honorata, frunęła z alkierzyka za szynkwas.

Pułkownik samego siebie się zawstydył. Lecz, ledwie ochłonął, nadobna właścicielka już wsunęła się i grożąc figlarnie palcem na nosku, zakonkludowała.

— Jenó, proszę być grzecznym.

— Jestem nim, jestem przecież — odparł ochotczy Bem, wpadając w swawolność. — Jenó tamten się nie liczy! Taki całus, to nie całus — lecz oskoma!

— Tak! Więc pułkownik ma go sobie za nie!

— Za skarb cały, droga moja, za skarb! Ale

zważaj, że aby musnąłem!

— Przepraszam... nie uchodzi inaczej! — Puł-

kownik by chciał wszystko odrazu.

— Tak, tak, kochanie, wszystko, wszystko.

— A nie trzeba, by coś zostało i dla przy-

szłego generała brygady i dla wodza naczelnego...

Bem porwał panią Honoratę za łapki.

— Jak, jak powiadasz?